

Wojciech Stanisławski: Siekiera, motyka, wentyl, topór

Zależy mi na przypomnieniu innego punktu widzenia, innego możliwego stanowiska wobec ówczesnej „rewolucji rockowej”: niekoniecznie słusznego, niekoniecznie prawomocnego poznawczo, z pewnością niszowego raczej niż powszechnego – wyznaje Wojciech Stanisławski w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: „Muzyczna rewolucja”.

Fenomen polskiego rocka lat 80. doczekał się nie tylko swoich kronikarzy i biografów: wzięli się zań także socjologowie, którzy dostrzegli pojawienie się w latach 80. nowych formuł i zjawisk, takich jest festiwal, fanzine i trasy koncertowe. Piszą o rocku historycy sztuki i literaturoznawcy, od robionych na kolanach wywiadów przeszliśmy do rozmów-rzek i biografii tak wnikliwych, jak wydana przed miesiącem *Lżejszy od fotografii* Piotra Stelmacha, traktująca o Grzegorzu Ciechowskim.

„Bitwa o pamięć” wydaje się więc – *hélas*, przynajmniej ta! – wygrana. Powiodło się polskiemu rockowi, nie został ani zagłaskany jak Wyklęci, ani zapomniany jak Sprawiedliwi. Stanowi składową („niezbywalną” – drży zwykle w tym momencie głos mówcy) polskich dróg do wolności, jarociński Lipiec i Sierpień wpisują się niemal w kalendarz „polskich miesięcy” między Grudniem a Drugim Czerwcem.

Hipoteza „rocka jako wentyl bezpieczeństwa”, alternatywnego modelu aktywności publicznej, animowanego przez demoniczne władze komunistyczne, by odciągnąć młodzież od struktur podziemnej „Solidarności” i innych form oporu, ścichła. Trochę ze względu na brak twardych dowodów archiwalnych: nikt z badaczy nie natrafił na dokument, w którym któryś z doradców Wojciecha Jaruzelskiego opowiadałby się za zasponsorowaniem wzmacniacza marki Fender dla Brygady Kryzys czy zaproszeniem na koncerty do Trójmiasta Sex Pistols. Brak cytatów nie tylko tak wymownych i symbolicznych jak słynne pismo Jerzego Urbana z roku 1985, w którym Mariusz Walter namaszczony został na twórcę „nowego typu telewizji”: nawet badaczka tak skrupulatna jak Karolina Bitner (*Partia z piosenką, piosenka z partią. PZPR wobec muzyki rozrywkowej*, IPN, 2017) nie natrafiła na źródła, świadczące o tym, by władze były zdolne do kreowania sceny rockowej: owszem, były jeszcze w stanie wpływać na nią – ograniczać, cenzurować, represjonować – przez cały czas pozostając jednak w defensywie.

*Powiodło się polskiemu
rockowi, nie został ani
zagłaskany jak Wyklęci, ani
zapomniany jak Sprawiedliwi.*

Być może wynika to również z przyjętego dotąd kierunku badań archiwalnych: młodzi badacze skupiali się na udokumentowaniu

praktyk nadzoru i represji, stosowanych przez szeregowy ogień służb specjalnych wobec rockowego świata. Badania te przyniosły opracowanie tak cenne, jak album Jarocin w obiektywie bezpieki (red. Krzysztof Lesiakowski, Paweł Perzyna, IPN, 2004). Jak wiemy jednak, również z dziejów „dorosłej” Solidarności lat 80., dotkliwe represje

wobec szeregowych członków ruchu czy formacji nie wykluczają równoległego stosowania bardziej zaawansowanych i strategicznych działań operacyjnych.

Dla upadku hipotezy o „rocku jako wentylu bezpieczeństwa” równie, a nawet bardziej istotna co brak ważkich wyników badań wydaje się jednak suma świadectw osobistych twórców, badaczy, animatorów i „konsumentów” polskiego rocka lat 80. To ona też zdecydowanie przeważała szalę ocen historyków, unieważniając hipotezę „wentylową”. Wypowiedzi te są w oczywisty sposób bardzo niejednorodne: ich autorami są co najmniej dwa pokolenia (z jednej – osoby, które towarzyszyły dekadzie lat 80. jako ludzie dorośli, z drugiej – późni konsumenci legendy, znający tamtą muzykę z wykonania studyjnych), spora ich część sformułowana została w wywiadach z artystami, w których nieuchronnie dominuje konwencja autoapologetyczna.

Można by wręcz pokusić się o próbę nakreślenia pewnego kanonu stylistycznego „wspomnienia o rocku polskim lat 80.”, którego trzy – niezbywalne! – elementy stanowi: (A) przywołanie osobistego świadectwa doznawanych represji; (B) odwołanie się do stylistyki antyheroicznej, pozwalającej na zdystansowanie się od, kłopotliwej dla artysty rockowego, retoryki zbyt jednoznacznie „kombatanckiej”; (C) wykorzystanie szerszej perspektywy historycznej, odejście od wspomnienia indywidualnego na rzecz szeroko przyjętej optyki historiozoficznej, w której polski rock stanowi etap na drodze do wolności i suwerenności.

Podobny kanon odnaleźć można zarówno we fragmentarycznych, skrótowych wypowiedziach artystów tak różnych jak Zbigniew Hołdys, Janusz Panasewicz czy Wojciech Waglewski, jak w dłuższych wywiadach z Zygmuntem „Muńkiem” Staszczykiem czy Kazimierzem Staszewskim, jak w niezrównanie autoironicznych p(r)ozach Andrzeja Stasiuka. Ku podobnej perspektywie skłania się, jak widać z poniższego cytatu, twórca tak samodzielny w swoich refleksjach i wyborach, tak odległy od stereotypu „rockmana” jak Tomasz Budzyński:

W 1985 roku pojechałem tam [na Festiwal – w.s.] już jako wokalista Armii. Spaliśmy gdzieś pod Jarocinem – co ciekawe – w Ośrodku Uprawy Lnu i Konopii. I nagle szósta rano walenie do drzwi: „Wstawać! Milicja! Jest tu Budzyński?”. No i zakuli polskiego Micka Jaggera w kajdanki. Pytam o co chodzi. „Zobaczysz, zobaczysz – okradliście sklep ze skórami”, odpowiedzieli mi. Zabrali na komendę, odciski palców zdjęli, w końcu puścili, bo przecież żadnego sklepu nie okradłem. To był element zastraszania – uważaj Budzyński, nie fikaj ze sceny, bo w razie czego to jesteś złodziejem.

(...)

Festiwal w Jarocinie to było wspaniałe wydarzenie, ale to nie było miejsce, gdzie było wszystko wolno. Graliśmy tam z Armią co roku do 1991 roku, a do [19]89 roku, dopóki była komuna, za każdym razem, tuż przed koncertem wzywano nas do urzędu

Służby Bezpieczeństwa w Jarocinie, bali się, że będziemy nawoływać publiczności ze sceny do buntu. A my nie mieliśmy takiego zamiaru, bo nie o to w tym festiwalu chodziło.

(...)

Kiedy człowiek wtedy, w PRL, przyjechał na taki festiwal z małego miasta i nagle zobaczył, że takich jak on jest 20–30 tysięcy, że nie jest sam, że jest solidarność, że jesteśmy jedną załogą, to wracał później odważny, chodził z podniesioną głową.

(...)

Komuna myślała, że Jarocin to wentyl bezpieczeństwa, że jak ludzie się tam raz do roku zjadą, to nie będą palić komitetów partii, ale nie rozumieli jaką muzyka ma moc, że daje człowiekowi ducha. To właśnie dzięki silnemu duchowi zwyciężyliśmy w Polsce komunizm.

(zapis wypowiedzi podczas spotkania w Europejskim Centrum Solidarności w rocznicę wprowadzenia stanu wojennego, 13.12.2016 r., źródło: <https://www.gdansk.pl/wiadomosci/Punk-rock-milosc-Siekiera-I-stan-wojenny-opowiada-Tomasz-Budzynski-muzyk-i-swiadek-tamtych-wydarzen,a,67019>)

Taki sposób postrzegania „rocka lat 80.” przez jego twórców i entuzjastów jest historycznie uprawniony, a psychologicznie – aż nadto zrozumiały. Niewykluczone też, że skala i autentyzm podobnych relacji przesądził o postrzeganiu tzw. muzyki młodzieżowej w perspektywie historii współczesnej. Nie podważam takiej opinii, nie dysponuję też dokumentami, które byłyby świadectwem bardziej całościowej, „strategicznej” refleksji władz lub doradców PZPR nad „rewolucją rockową” jako możliwą alternatywą dla opozycyjnych zaangażowań młodzieży lat 80. Chciałbym jednak jako uzupełnienie wspomnianych wyżej relacji entuzjastów zaproponować pamięć o innych postawach nastolatków epoki lat 80. Chciałbym przy tym unikać mieszaniny sentymentalizmu czy kombatantstwa, nieuchronnie obecnych we „wspomnieniach osobistych” traktujących o wczesnej młodości i przeżywanych wówczas emocjach. Żadnego murmurando, żadnej łyzy w oku: idzie o zapis obsesji.

Mówiąc całkiem serio, zależy mi na przypomnieniu innego punktu widzenia, innego możliwego stanowiska wobec ówczesnej „rewolucji rockowej”: niekoniecznie słusznego, niekoniecznie prawomocnego poznawczo, z pewnością niszowego raczej niż powszechnego: na tyle jednak „intersubiektywnie prawdziwego”, obecnego w środowiskach nastolatków zaangażowanych politycznie w latach 80., że – wydaje mi się – wypada uwzględnić również ten punkt widzenia na fenomen recepcji polskiego rocka; tym bardziej, że postawy te nie były chyba bez znaczenia dla stosunku tego samego środowiska wobec przemian politycznych i artystycznych późniejszych o dekadę.

Pisząc o „środowisku”, dokonuję pewnego nadużycia: właściwiej byłoby mówić o formacji, sympatykach czy może wręcz rozproszonym zbiorze nastolatków warszawskich z rodzin inteligentnych, rzemieślniczych czy robotniczych, czasem partyjnych, czasem intelektualnych, czasem pobożnych. Czas zaangażowania w jakiejkolwiek formacje i struktury – czy była to oświata niezależna, czy Grupy Oporu „Solidarni”, Federacja Młodzieży Walczącej, czy Niezależne Zrzeszenie Studentów – miał dopiero nadejść. W pierwszej połowie lat łączyły ten zbiór idiosynkrazje i fascynacje, wynikające z jednego doświadczenia formatywnego: szesnastu miesięcy „karnawału”, rozgrywającego się gdzieś w tle cieleco-dziecięcych urzeczeń podwórkiem i latem – przeciętych toporem niedzieli 13 grudnia.

Perspektywa jakichkolwiek rozmów z władzami, na poziomie wychowawczym, przesłuchującego na komisariacie porucznika czy Gorbaczowa w Moskwie była nie to, że racjonalnie odrzucana – była poza ich horyzontem poznawczym.

Konsekwencją było odrzucenie „systemu” na skalę nieznaną i niepojętą dla pełnoletnich opozycjonistów, dla których instytucje i funkcjonariusze władzy pozostawali zagrożeniem i przeciwnikiem, w najszerszym jednak sensie – realnym

partnerem. Wolne od realiów dorosłości nastolatki odrzucały nie tyle „system” jako taki (nie mieli po temu ani zdolności realnych, wobec skali obecności państwa, ani poznawczych), co jego sferę semiotyczną, wszelkie przejawy jego aktywności w obszarze znaczeń i wartości.

Ujmując to prościej: cokolwiek było związane z oficjalnymi instytucjami władzy, stawało się tabu – a jedynym sposobem zdjęcia tej anatemy było jawne zadeklarowanie przywiązania do „Solidarności” pojmowanej nie tyle jako związek zawodowy czy formacja polityczna, co jako symbol; znak graficzny; „solidaryca”.

Obsesja ta przyjmowała różne kształty: jedni smarowali solidarnościową „kotwicę” na ławkach mazakami, wyżebranymi w Peweksie; inni wycinali jej szablon z gumki-myszki i stawiali, gdzie się dało, stemple, by następnie ze szwoleżerską pogardą dla reguł konspiracji obnosić się z palcami uwalanymi czerwonym tuszem. Jedni zapisywali się do każdego duszpasterstwa, w którego materiałach pojawiło się słowo napisane solidarycą, czy było to „Trzeźwość”, czy „Pamiętamy” (ideałem był, oczywiście, „Sierpień”). Inni ciułali miesiącami pieniądze, by u cwanych grawerów na Starym Mieście kupić małą kotwicę „S” odlaną w burym łąze-mosiądzu.

Kartonowa gilza po gazie łązawiącym stawała się trzymaną w szafce relikwią, z którą konkurować mogła tylko mutra z torowiska tramwajowego, ciśnięta w ZOMO i podniesiona z trawnika w kilka godzin później, gdy rozjechały się już furgonetki. Cud tylko (albo humanitaryzm pułkownika ZOMO Jerzego Gruby) sprawił, że ich wszystkich nie wytłukli; owszem, niektórych wytłukli.

Perspektywa jakichkolwiek rozmów z władzami, na poziomie wychowawczym, przesłuchującego na komisariacie porucznika czy Gorbaczowa w Moskwie była nie to, że racjonalnie odrzucana – była poza ich horyzontem poznawczym. Ironia Kaczmarek z *Kołysanki* do nich nie docierała: jeśli nie nucili „gdy się skończy już to wszystko /

gdzieś około lata / będę antysocjalistą / takim jak mój tata” to tylko dlatego, że ojcowie się już nie liczyli: byli skompromitowani przez to, że nie zginęli. Jak napisał w ironicznym, niezapomnianym wierszu jeden z tamtego środowiska, najmłodszy z warszawskich drukarzy podziemnych, Tomasz Pieczyński (1968–2003):

Śmierć wszystkim, którzy walczyli z komunizmem – za to, że
nie zdołali pokonać komunizmu.
Śmierć makom – za to, że czerwone.
Śmierć im, kurwa, śmierć!

Maki mogły ewentualnie liczyć na ułaskawienie, skoro śpiewali o nich andersowcy. Ci, którzy sobie odpuścili – w żadnym razie.

Dotknąć blachy drukarskiej – to było jak dwa pokolenia wcześniej dotknąć VIS-a. I co, ci monomaniacy mieli sięgnąć po oficjalnie wydawany miesięcznik „Non Stop”, redagowany przez Wojciecha Manna, w którym pisywali Jakub Wojewódzki i Roman Waschko? Mieli pojechać na festiwal, by pod karcąco-ojcowskim wzrokiem patroli poskakać sobie w kurzu? A może mieli uznać, że ładunek przekory oraz ironii w wersach Dezertera „Spytaj milicjanta / On Ci prawdę powie! / Spytaj milicjanta / On Ci wskaże drogę” załatwi ich sprawę, jaką mieli z milicją? Zabawne, zabawne, panie Pęczak.

Owszem, krew nie woda, gitara basowa nie pokrzywy, więc zdarzały się chwile słabości. Pamiętam głęboko konspiracyjny lokal, w którym dużym i zgoła zaskakującym w tym kontekście szacunkiem darzono

okładkę płyty Krzesimira Dębskiego „Di rock cymbalisten” – wyłącznie jednak ze względu na fakt, że na okładce wydania Poltonu z roku 1983 brodaty skrzat przechadzał się po nader interesująco ujętym przez rysownika biuście. Pamiętam emocje towarzyszące słuchaniu listy przebojów. Ba, nawet Jennifer Rush z *The Power of Love* potrafiła wzruszyć.

Ale to były zawsze chwile słabości, nic więcej. I zawstydzeni, jak w balladzie o Hłasce, wracaliśmy parami.

Autor grafiki: Michał Strachowski